

Edward Balcerzan

Znachorstwo jako krytyka

Teksty : teoria literatury, krytyka, interpretacja nr 6, 170-173

1972

Artykuł został zdigitalizowany i opracowany do udostępnienia w internecie przez Muzeum Historii Polski w ramach prac podejmowanych na rzecz zapewnienia otwartego, powszechnego i trwałego dostępu do polskiego dorobku naukowego i kulturalnego. Artykuł jest umieszczony w kolekcji cyfrowej bazhum.muzhp.pl, gromadzącej zawartość polskich czasopism humanistycznych i społecznych.

Tekst jest udostępniony do wykorzystania w ramach dozwolonego użytku.

Znachorstwo jako krytyka

Kiedy pojawił się człowiek, wydał własny dźwięk, czyli głos ludzki.

M. Piechal: *Propozycje* (XXI)

Praktyki znachorów, którzy „na każdą chorobę” zalecają psi smalec lub leczą ludzi wodą, są uznawane za nielegalne i szkodliwe. W innych dziedzinach życia — zwłaszcza w życiu literackim — panuje pełna tolerancja: znachorstwo kwitnie, korzysta z różnorodnych przywilejów, budząc niekiedy, jak wszelkie teksty kultury prymitywnej, coś w rodzaju rozrzewnienia i sympatii. Jak medytacje ludowych bazarzy, jak siedemnastowieczne księgi o zamorskich krajach, jak nieporadne wypracowania uczniowskie. Jest to jednak sympatia moralnie dwuznaczna. Prymityw, owszem, bawi i cieszy na tle wiedzy specjalistycznej — ilekroć usiłuje ją zastąpić, staje się groźny.

Oczywiście, mówiąc o „znachorskiej” krytyce literackiej posługujemy się metaforą; analogie między znachorem-lekarzem a znachorem-krytykiem są przecież zastanawiająco wielostronne.

Znachor leczący przeciwstawia się ostentacyjnie naukowemu podstawom wiedzy medycznej. To zresztą zrozumiałe. Skłócenie z nauką określa jego pozycję społeczną. Gdyby się w końcu ukorzył przed autorytetem nauki, przestałby być znachorem. Irytuje go głównie teoria. Śmieszka się specjalizacja. Gardzi laboratoryjną ekspertyzą — leczy „na wycucie”. Z ręki, z oczu. Znachor-krytyk podobnie. Żyjemy, mówi, w ciężkich czasach — w „wieku bezkrytycznego kultu nauki”¹. Ale nauka jest bezradna wobec tajemnic sztuki. Naukowiec zajmuje się badaniem zjawisk istniejących obiektywnie. „Poezja obiektywnie nie istnieje”. Mówienie o jakichś „znawcach” poezji jest po prostu śmieszne. „Zawsze mnie śmieszyły uzurpacje tzw. znawców poezji” (XXIII), wyznaje szczerze i śmiało. Dochodzi wkrótce do wniosku, iż walczy oto z widmem, z chimera, z nicością, albowiem „nie może być znawców poezji” (XV). *Takiego żywotnego niet.* Mimo to szydzi z fałszywych ambicji „znawcy”, który nie istnieje, i miażdży jego urojone urojenia.

Znachor-medyk leczy na wycucie, znachor-krytyk interpretuje sztukę słowa także na wycucie. Z ręki, z oczu, na wdech. „Poezję można tylko odczuwać, ale nie można się na niej znać” (XV). Znachor-krytyk nie zna się na poezji, i to stanowi przedmiot jego dumy. Czucie i wiara — nie szkiełko i oko! Tę myśl powtarza z uporem. „Poezję można tylko odczuwać. Ale nie każdy ma dar odczuwania

¹ Wszystkie cytaty z cyklu felietonów Mariana Piechala pt. *Propozycje*, które ukazywały się w miesięczniku „Poezja” w latach 1969—1972; po każdym cytacie podaję w nawiasie numer felietonu.

poezji" (XXIII). Jak ów szczególny „dar” wygląda u naszego znachora? — o tym dalej. (Prawdę mówiąc, wygląda fatalnie). Wojujący antyścycjentyzm przenika całość jego pism krytycznoliterackich. Uznaje, owszem, racje bytu filozofii, ale „o ile ta nie rości sobie pretensji do miana nauki” (XX). Jeżeli ceni kogoś z ludzi nauki, to jedynie Einsteina, i to dlatego li tylko, „że Einstein w przeciwieństwie do innych uczonych odczuwał sztukę i sam grał na skrzypcach” (XIII). Na tym tle nie powinna dziwić znachorska interpretacja znanej fraszki Jana Kochanowskiego. Interpretacja nader lapidarna, zacytujmy ją w całości.

„Wprawdzie Jan Kochanowski napisał o matematyce:

Ziemię pomierzył i głębokie morze,
Wie, jako wstają i zachodzą zorze,
Wiatrom rozumie, praktykuje komu,
A sam nie widzi, że ma kurwę w domu.

Jednak naukowcy twierdzą co innego i skierowują tę fraszkę w stronę przeciwną” (XIII).

Trudno zgadnąć, co mianowicie „innego” twierdzą naukowcy, dlaczego mieliby „skierowywać” tę fraszkę „w stronę przeciwną” (czy w stronę owej wrednej kurwy?), niemniej niechęć znachora do wiedzy matematycznej wydaje się tu ewidentna.

Znachor-medyk, po drugie, konstruuje zwykle kompletną i zarazem maksymalnie uproszczoną wizję świata, która zastępuje system wiedzy specjalistycznej. Jeżeli zakłada, iż o naturze wszechrzeczy decyduje ruch gwiazd, leczy ludzi wedle wskazań astrologii. Gdy znów mniema, iż u prapoczątków wszelkiego istnienia znajduje się prąd elektryczny, uzdrowia chorych za pomocą prądu. I tak dalej. Znachorstwo wyrasta ze świadomości mitycznej; jest pragmatycznym wykładnikiem mitu; ogarnia sobą wszechświat.

Znachor-krytyk literacki „wyczuwa” sztukę poetycką jako byt kosmiczny, sprzężony z kosmosem natury. „A jeszcze mniej, niż o wszechświecie, wiemy o poezji, która jest swoistą, że tak powiem, kosmogoniologią psychiki ludzkiej” (III). Wszelka literatura, głosi znachor, wyrasta z Natury, podlega Jej tajemnicom, w Niej się pleni i z Nią mrze niechybnie. Mit Natury pozwala rozjaśnić mroki estetyki, poetyki, semazjologii. Weźmy na przykład relację „treść — forma”. „Znawcy” napisali na jej temat tyle niedorzeczności. Nie wiadomo, czym jest „treść”, i nie wiadomo, czym jest „forma”, i nie wiadomo nawet, co czym rządzi. A to takie proste. Wystarczy popatrzyć na Naturę, wejrzeć w istotę Życia. Oto wykład znachorski:

„Treść implikuje formę. Tak jest w życiu i tak jest w sztuce, a więc i w sztuce słowa, która będąc swoistą eksplikacją życia jest zarazem i jego implikacją. Proces odwrotny byłby przeciwny immanentnemu porządkowi Natury, która jest jedynym źródłem życia, a więc i sztuki, także sztuki słowa” (XIX).

Albo weźmy znów problem złożoności znaczeniowej słowa. Cóż to jest? „Tę złożoność znaczeniową słowa można by unaocznic za pomocą planetarnego modelu atomu, jako że słowo to atom mowy ludzkiej” (XXVIII). Natura wszystko rozświetla. Natura prawdę ci powie. Różni komentatorzy różnie interpretowali *Samogłoski* Rimbauda. Nikt nie pomyślał o Naturze. Tymczasem, powiada znachor, „Pięć podstawowych samogłosek alfabetu to jakby pięć pierwiatkowych elementów życia ludzkiego, złożonego z pięciu zasadniczych barw. A to czern, bo początek człowieka to ciemność i nieświadomość, a jego narodziny odbywają się wedle praw przyrody (i prawd *Biblii*) w brudzie i odorze życia. E to biel, bo przeżycia dzieciństwa i młodości polegają na złudzeniach marzeń i nadziei. I to czerwien, bo doświadczenia życia opłacane są wyczerpującą zawsze daniną krwi. U to zieleń bo (...)” (XXII). Znachor wspomina o *Biblii*. W ten właśnie sposób rozmaite sekty komentują metafory *Biblii*. A każda sekta dochodzi do innych konkluzji. Inny znachor mógłby napisać, że „początek człowieka” to nie czern, lecz czerwien, bo narodziny „opłacane są wyczerpującą zawsze daniną krwi”. Mógłby napisać także, iż wiek dojrzały to nie czerwien, lecz czern, bo człowiek dojrzały zawsze musi przejść przez „brud i odór życia”. Gdzież jest prawda? Prawdy nie ma. Pamiętajmy, że „poezja obiektywnie nie istnieje”. Liczy się tylko „wycucie”.

Prostota wyjaśnień znachorskich wcale nie oznacza pełnej ich komunikatywności. Tu metaforę zastępuje metafora. Symbol tłumaczy symbol. W praktyce znachorskich odczytań refleksja krytycznoliteracka przeobraża się w rodzaj mowy tajemnej. Definicje są arbitralne i mętne.

Czym jest wiersz? „(...) wiersz to taki orzeszek w otwartej skorupie słownej, w którego wnętrzu mieści się jądro poezji” (XXX). Czym jest człowiek? „Człowiek to chodzący dramat: czasem komedia, czasem tragedia, a najczęściej farsa” (XXIV). Cóż, jak widać, znachor nie darzy człowieka szczególną sympatią.

Czym jest filozofia? „Jeśli filozofię przyrównamy do szkieletu, to poezja jest jego ciałem” (XVIII). Ciało szkieletu? Brr! Pewno chodzi o ciało, jak mówią w Wielkopolsce, trochę „zgnite”.

Jakie są głosy natury? „Głosy natury są przeważnie odruchowe” (XXI).

Raz po raz, skuszony językiem przeklętych „znawców”, znachor wprowadza do swoich metafor terminologię fachową. Efekty są takie oto: „W poezji słowo użytkowe, słowo przyziemnego pełzania dostaje nagle skrzydeł i rozpoczyna swój semantyczny lot w intersubiektywnych przestrzeniach ludzkich dziejów” (XV).

Praktyki lecznicze znachorów, którzy wytapiają psi smalec lub produkują uniwersalne ziołoleki, są uznawane za szkodliwe. Niekiedy jednak fachowa wiedza medyczna, w odosobnionych co prawda przypadkach, potrafi docenić znachorski „węch”, intuicję, jego

szczególny dar zgadywania choroby, jego talent psychologa-amatora.

Niestety, nasz krytyk-znachor takiego *daru* nie posiada. Wiersze, których nie rozumie, wprawiają go w stan irytacji. „Kto z ręką na sercu może powiedzieć, że rozumie lub choćby tylko odczuwa te utwory?” (VIII), pyta dramatycznie.

Komentarze krytyka-znachora są lapidarne i niewymyślne. Niekiedy wręcz obelżywe. O wierszu Jasińskiego *Wiosenno* powiada, iż jego treść stanowi „bredzenie od rzeczy”. O wierszu Młodożeńca *XX wiek*, że jest to, „bredzenie do rzeczy”. Wreszcie o wierszu Białośzewskiego *usięwodzenie siedzenie*: „Tutaj dla odmiany mamy do czynienia z bredzeniem do rzeczy, ale stękanym” (XXIX). Zaiste, imponująca szkoła gustu! Pomoc dla nauczyciela-polonisty, lektura dla ucznia, rarytas dla wszystkich zainteresowanych sztuką poetycką. Nie sądzę, aby cokolwiek przeszkodziło w książkowym wydaniu omawianych tekstów.

Edward Balcerzan